

A close-up, black and white portrait of a man with dark hair and a serious expression, looking slightly to the right. The lighting is dramatic, with strong shadows on the left side of his face.

**DZIWNY  
JEST  
TEN  
ŚWIAT**

Opowieść

o Waldemarze Milewiczu

HONORATA ZAPAŚNIK





HONORATA ZAPAŚNIK

**DZIWNY  
JEST  
TEN  
ŚWIAT**

**Opowieść  
o Waldemarze Milewiczu**



**OTWARTE  
KRAKÓW 2021**



## SPIS TREŚCI

[Prolog]	9
Kresowe korzenie	11
Przesiedlenie	15
Dobre Miasto	21
Szkoła podstawowa	31
Życie rodzinne	35
Szkoła średnia	43
Klasa	49
Studia	53
Basia	61
Francuska przygoda	65
Ania	75
Amerykański narzeczony	79
Paryż	83
Ślub	87
Za Żelazną Bramą	91
Stan wojenny	97
Telewizja Polska	101
Korea Północna	109
Rodzina 2+1	115
Śmierć ojca	119
Bilet do USA	123
Mina wieśniaka	133

Narodziny korespondenta wojennego	139
Redakcja zagraniczna	149
Aleja Snajperów	159
Sześć dni wojny	167
Zwykła historia	181
Milewicz będzie pokazywać wojnę!	191
Dom	205
Sarniaki	213
Przeprowadzka Jadwigi do Warszawy	219
Budrys	223
Licealistka	227
Żona marynarza	231
Amerykańska przygoda Moniki	237
Studentka	247
Rozwód	251
Anorexia nervosa	259
Zaręczyny	263
Wnuczka	267
Nagrody	273
Dziwny jest ten świat	279
Zjechaliśmy pół świata	283
Pół kilometra wolności	299
Często myślę o śmierci	309
Wojenny pamiętnik. Część 1	327
Wojenny pamiętnik. Część 2	333
Temat, kamera i ja	337
Chcemy pokazać, jak tutaj życie	349
I feel you	371
Irak	377
Ostatnia wojna	387
Łzy jak krople deszczu	399
[Epilog]	419



*Moim Rodzicom*

*Dziwny jest ten świat,  
gdzie jeszcze wciąż  
mieści się wiele zła.  
I dziwne jest to,  
że od tylu lat  
człowiekiem gardzi człowiek.*

*Dziwny ten świat,  
świat ludzkich spraw,  
czasem aż wstyd przyznać się.  
A jednak często jest,  
że ktoś słowem złym  
zabija tak, jak nożem.*

*Lecz ludzi dobrej woli jest więcej  
i mocno wierzę w to,  
że ten świat  
nie zginie nigdy dzięki nim.  
Nie! Nie! Nie! Nie!  
Przyszedeł już czas,  
najwyższy czas,  
nienawiść zniszczyć w sobie.*

*Lecz ludzi dobrej woli jest więcej  
i mocno wierzę w to,  
że ten świat  
nie zginie nigdy dzięki nim.  
Nie! Nie! Nie! Nie! Nie!  
Nadszedł już czas,  
najwyższy czas,  
nienawiść zniszczyć w sobie.*

Czesław Niemen (1967)

Waldemar Milewicz mówi siostrze przez telefon, że zastanawia się nad wyborem tytułu nowego programu. Najbardziej odpowiada mu *Dziwny jest ten świat*.

– Chyba przy nim zostanę – mówi. – Wsłuchiwałem się w słowa piosenki Niemena i sądzę, że oddają sens tego, o czym chcę opowiadać.

## ZA ŻELAZNĄ BRAMĄ

**O**siedle Za Żelazną Bramą w Warszawie to duma czasów Gomułki. Składa się z 19 długich, 16-kondygnacyjnych budynków, w jednym bloku mieści się nawet 420 mieszkań. Budowa osiedla – w miejscu, gdzie w czasie wojny było getto – rozpoczęła się w 1965 roku. Zajął ją siedem lat. Bloki postawiono przy zastosowaniu nowatorskiej technologii budowlanej „Stolica I” – konstrukcję nośną wylewano betonem. Na parterze znajdują się sklepy, kioski, odpoczywa się w obszernych holach. Przestrzenie między budynkami obsadzono rzędami drzew. Milewiczowie po powrocie z Francji kupują 27-metrowe mieszkanie na 13 piętrze przy ulicy Chłodnej 11. Ma jeden pokój ze ślepą kuchnią. Nazywają je „piekarnikiem”, bo latem bardzo się nagrzewa i muszą zasłaniać okna ciemnymi zasłonami.

– Oglądaliśmy różne mieszkania, ale to miało dobrą lokalizację i znajdowało się w środku miasta – mówi Anna Milewicz. – Na początku pojawił się problem, bo żeby je kupić, jedno z nas musiało mieć meldunek warszawski. W końcu zgodziła się mnie zameldować znajoma mojej siostry Basi.

– Pierwszą rzeczą kupioną do mieszkania było kryształowe lustro, które powiesili w łazience nad wanną – wspomina Krystyna Zagajewska. – Moja rodzina była w szoku, bo nie mieli nawet łóżka. Oczywiście wpadł na to Waldek, on zawsze miał takie niezwykłe pomysły. Potem dopiero kupili materac do spania i lodówkę.

– Przez okno widzieliśmy sklep z artykułami gospodarstwa domowego, co jakiś czas rzucali tam kilkadziesiąt sztuk jakiegoś sprzętu – dodaje Anna Milewicz. – Waldek zapisał się na społeczną listę kolejkową, czasem miał dyżur w nocy lub nad ranem. W końcu wrócił do domu z pralką firmy Polar. Służyła nam około dziesięciu lat.

Mieszkanie urządzą stopniowo. W pokoju pod ścianą staje drewniany stół jadalny, pośrodku kanapa ze stolikiem i pufami. Naprzeciwko kanapy znajduje się drewniana szafka z małym kolorowym telewizorem przywiezionym przez Edka ze Związku Radzieckiego. W oknach wiszą ciężkie zasłony i białe firanki. Z pokoju przechodzi się do urządzonej we wnęce sypialni.

– Nasz tata dzięki temu, że pracował w przemyśle drzewnym, kupił drewno i przetransportował je do Warszawy – mówi Teresa Milewicz-Fortuńska. – Potem ze swoim kuzynem stolarzem wstał do sypialni drzwi harmonijkowe z ładnego sosnowego drewna.

W środku staje szafa, duże łóżko, na ścianie zawisa półka z książkami. Ania stawia tam też wazon z zasuszoną czerwoną różą, którą miała na ślubie.

5 grudnia 1980 roku Waldek broni pracy magisterskiej na temat: „Budżet czasu wolnego mieszkańców domu studenta oraz formy jego spożytkowania”. Praca zostaje oceniona na ocenę dobrą, egzamin na bardzo dobrą. Ogólny wynik studiów jest dobry. Wkrótce Milewicz zostaje nauczycielem nauczania początkowego w szkole podstawowej na Woli.

– Do jego klasy chodził chłopczyk z domu dziecka – opowiada Anna Milewicz. – Mąż wzruszył się i zapytał mnie, czy może go przyprowadzić do nas na obiad. Oczywiście się zgodziłam. Po

obiedzie dałam chłopcu bombonierkę z czekoladkami. Kiedy później z mężem wychodziliśmy z domu, znaleźliśmy na korytarzu puste pudełko po czekoladkach.

Ania jest w ciąży. Waldek chodzi z żoną na spacer i robi zakupy do domu. Kiedyś wraca ze sklepu mięsnego i opowiada z przejęciem, że ludzie się przepychali i musiał zaprowadzić porządek w kolejce. 20 marca 1981 roku Ania idzie do pracy w Instytucie Przemysłu Cukierniczego, gdzie zajmuje się wydawaniem czasopisma branżowego. Wieczorem przychodzą do nich goście, wychodzą około 22.00. Ania źle się czuje, więc dzwonią do Marka Janiszewskiego, męża jej siostry ciotecznej, z prośbą, żeby zawiózł ich swoim maluchem do szpitala. Docierają w ostatnim momencie. Dziecko przychodzi na świat 21 marca o 1.25.

Waldek podobnie jak inni ojcowie w tamtych czasach nie może odwiedzić żony w szpitalu, więc pisze do niej odręcznie list na czwartce kartki A4. Salowa za opłatą zanoszą go Ani. Dzisiaj wisi on nad łóżkiem ich córki w jej domu w Chicago:

*Cholernie się cieszę, że to córka. Tak w głębi duszy to chciałem mieć córkę. A na syna będzie jeszcze czas. Strasznie się cieszę. Wiesz, nie spałem do trzeciej. Rozmyślałem, co też trzeba teraz przygotować. A o wpół do siódmej ktoś zadzwonił i powiedział, że mam córkę, że waży 3,250 kg i że urodziła się o 1.25, że poród był łatwy – jest zdrowa. Słuchaj, przyjdę po pracy ok. 16 00. Napisz, co ci trzeba teraz, i daj ten list salowej (blondynce w niebieskim fartuszk, która ci przносиła torbę). Może kupić coś do jedzenia? Napisz, kiedy wrócisz do domu. Może któreś z siostr albo salowych dać coś, aby się tobą lepiej opiekowały? Czy nic ci nie brakuje? Teraz idę szlifować drzwi i rozgłaszać wszystkim, że mam córkę. Chyba jednak Agatkę.*

*Całuję, Waldek*

– Wtedy nie robiono USG, więc nie wiedzieliśmy, czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka – mówi Anna Milewicz. – Waldek był bardzo wzruszony, że został tatą. Razem z moimi siostrami przyjechał pod szpital, żeby zobaczyć dziecko przez szybę. Potem stał pod tym oknem wiele razy. Kiedy wróciliśmy z niemowlęciem do domu, czekała na nas moja mama z zupą. Byłam zmęczona i usnęłam. Mąż podniósł wiklinowy kosz, w którym spała córka, i z zachwytem się w nią wpatrywał. Potem dużo przy niej pomagał. Na początku tylko on ją kąpał, bo ja się bałam dotknąć takiego maleństwa. Często ją przewijał i zabierał na spacer. Zawsze mu zazdrościłam, bo kiedy z nią wychodził, córka spała. Gdy ja szłam z nią na spacer, zaczynała krzyczeć.

Ostatecznie w urzędzie stanu cywilnego Milewiczowie nadają córce imię Monika. O wyborze decyduje Waldek.

– Uzgodniliśmy, że ja wybieram imię dla syna, a on dla córki – wspomina Anna Milewicz. – Podczas pierwszego pobytu we Francji miał koleżankę Monique. To była Francuzka. Podobało mu się to imię. Wydawało mu się bardzo francuskie.

– Pytaliśmy go czasem przy stole: „Waldek, ale dlaczego Monika?” – mówi Krystyna Zagajewska. – Wtedy dowcipnie odpowiadał, że gdy przyszła na świat, pracował w szkole i na lekcji poprosił dzieci, żeby mu powiedziały, jakie imię lubią najbardziej. Najwięcej dzieci odpowiedziało: „Monika”. Żartowaliśmy: „Oj, coś ty narobił!”. Śmiał się z tego.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdza Monika Milewicz. – Tata zawsze podążał za modą i lubił to, co nowoczesne. W tamtym czasie to imię było popularne, w mojej klasie było kilka Monik.

Chrzest córki Milewiczów odbywa się w Sochaczewie. Rodzicami chrzestnymi zostają Basia Zagajewska, młodsza siostra Ani, i Krzysztof Barciak, jej dalszy kuzyn. Na zdjęciu zrobionym w kościele Waldek trzyma Monikę na kolanach.

– Zobacz, jaki on jest na nim poważny – mówi Monika Milewicz. – Tata w kościele zawsze był skupiony i starał się uczestniczyć

we mszy. Nie szedł tam tylko dla pozorów. Odmawiał wszystkie modlitwy i przystępował do komunii świętej. Bardzo ważne dla niego były wszystkie tradycje. Zawsze w niedziele całą rodziną chodziliśmy na msze święte.



## STAN WOJENNY

**13** grudnia 1981 roku o 6.00 Polskie Radio i Telewizja Polska nadała przemówienie generała Jaruzelskiego, który informuje o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Oznacza to między innymi godzinę milicyjną, zakaz zmiany miejsca pobytu bez uprzedniego uzyskania zgody administracji państwowej oraz zawieszenie wydawania prasy i zajęć w szkołach. Wcześniej, o godzinie 23.30 w całym kraju przerwano łączność telefoniczną i teleksową. Pierwsze aresztowania rozpoczęły się krótko po północy. Na ulicach pojawiły się czołgi i pojazdy opancerzone.

– Byliśmy tym zszokowani, bo nie wiedzieliśmy, czego można się spodziewać – wspomina Anna Milewicz. – Widzieliśmy, że w bloku naprzeciwko chodzą po mieszkaniu milicjanci z latarkami i robią rewizję. Sąsiedzi mówili, że milicjanci szukali tam radiostacji Solidarności, która zresztą znajdowała się bardzo blisko, na rogu Chłodnej i Żelaznej.

– W stanie wojennym jechaliśmy naszym samochodem do Milewiczów na spotkanie – opowiada Grażyna Jatkowska. – W pewnym

momencie zatrzymał nas jakiś mężczyzna. Mówił, że bardzo się spieszy, i zapytał, czy możemy go podwieźć na Żoliborz na zebranie konspiracyj. Podwieźliśmy go i spóźniliśmy się. Waldek się śmiał, że byliśmy tacy naiwni i w dodatku zawieźliśmy go za darmo! Codziennie o 19.30 w telewizji nadawano *Dziennik Telewizyjny*. Wiele osób na znak protestu wychodziło w tym czasie na spacer. Ludzie chcieli w ten sposób okazać dezaprobatę wobec telewizyjnej propagandy, dać znać, że „telewizja kłamie”. Inni o tej porze migali w domu światłem. Ja też angażowałam się w takie akcje, włączałam i wyłączałam żyrandol w pokoju, co Waldka niezmiernie bawiło. „Przestań, co ty robisz?”, pytał, śmiejąc się. „Zostaw to światło”. Nie wyglądała na zmartwionego tym, co się działo w Polsce.

– Przy Chłodnej mieszkał ksiądz Jerzy Popiełuszko, kapelan Solidarności – dodaje Anna Milewicz. – Kiedy zniknął, czuło się napięcie wśród ludzi. Potem okazało się, że został zabity. Przed pogrzebem w listopadzie 1984 roku trumnę z ciałem wystawiono w kościele św. Stanisława Kostki. Stałam w długiej kolejce, żeby wejść do środka i się pomodlić. Waldek w tym czasie był z Moniką w domu. Kiedy wróciłam, on poszedł do kościoła.

W stanie wojennym Milewiczowie niespodziewanie dostają paczkę od nieznanego małżeństwa z Le Mans. W środku jest ryż, kasza, mydło, ubranka dla Moniki, wózek dla lalek po córeczce nadawców. Ania i Waldek dziwią się. W końcu Waldek dochodzi do wniosku, że pewnie Basia, Alain lub inni znajomi podali ich adres w biurze pomocy Polakom.

– Byliśmy wdzięczni za pomoc, bo w Polsce wszystko było na kartki – mówi Anna Milewicz. – Po stanie wojennym zaprosiliśmy do Polski to małżeństwo z dziećmi, niewiele starszymi od naszej córki. Spotkaliśmy się na granicy i pojechaliśmy razem do zajazdu, który nasi znajomi prowadzili w Kościelisku, a potem do rodziny Waldka w Gdańsku. Claude i Michel byli zszokowani warunkami, jakie w Polsce zastali. Nie mogliśmy spontanicznie pójść do restauracji,

w drogę musieliśmy zabrać kanistry z benzyną. Potem oni zaprosili nas do Francji, zwiedziliśmy z nimi Alzację i Prowansję.

Obok Milewiczów mieszkają Tomek i Małgosia Kaniowie, którzy mają syna Marcina w wieku Moniki. Tomek jest muzykiem, ze Szwecji przywozi akcesoria do produkcji bimbrow. Waldek z Tadkiem wykorzystują też do tego garnek ciśnieniowy, który Milewiczowie przywieźli z Francji.

– Ania z Waldkiem przyjeżdżali do nas na Gocław z reguły w niedziele bez zapowiedzi – opowiada Grażyna Jatkowska. – To wynikało ze specyfiki czasów, w których żyliśmy, czyli z braku telefonu. Niestety wcześniej zwykłam nakładać sobie radziecką chnę na głowę, bo nie było farb do włosów. Ta chna konsystencją przypominała krowi placek. Musiałam trzymać ją na włosach przez parę godzin, z głową owiniętą folią, na której miałam jeszcze moherową czapkę. Siedziałam przy gościach w tej paskudnej czapce, budząc w Waldku, estecie, najwyższe zdęgowanie, któremu niewerbalnie dawał wyraz.

W 1983 roku obie rodziny wybierają się razem na wczasy do Przebrna, miejscowości wypoczynkowej na Mierzei Wiślanej. Jadą dużym fiatem Tadeusza, kupionym za pieniądze zarobione we Francji. W połowie pobytu czteroletnia córka Jatkowskich Gabriela dostaje wysokiej gorączki.

– Wezwaliśmy pogotowie, została przewieziona do szpitala w Elblągu z podejrzeniem zapalenia opon mózgowych – wspomina Grażyna Jatkowska. – Dostawała zastrzyki z penicyliny. Jeździliśmy do niej w odwiedziny, ale po paru dniach miałam dosyć tych wczasów ze szpitalem w tle. Podjęliśmy decyzję o wcześniejszym powrocie do domu. Waldek był mocno niezadowolony. Biegał i szukał podwózki do Warszawy po zakończeniu turnusu, nie bacząc na chorobę córki swojego przyjaciela. Nie był pozbawiony empatii, ale niestety rzadko ją okazywał w takich sytuacjach.

W któregoś sylwestra Milewiczowie i Jatkowscy idą we czwórkę na zabawę do klubu osiedlowego przy ulicy Domaniewskiej.

– W pewnym momencie Waldek zaczął tańczyć z atrakcyjną blondynką – mówi Grażyna Jatkowska. – Wykonywał różne figury, które zabierały dużo miejsca na parkiecie. Razem z Anią chcieliśmy wrócić do domu, ale on wołał dalej się bawić. Zostawiliśmy go w towarzystwie blondynki i wyszliśmy z zabawy.

## TELEWIZJA POLSKA

**W** szkole na Woli Waldek wytrzymuje niecały rok. Nie przepada za małymi dziećmi i praca zaczyna go męczyć.

– Absolutnie nie chciał być nauczycielem – twierdzi Teresa Milewicz-Fortuńska. – Opowiadał, że kiedy jedzie do pracy tramwajem, uczniowie go rozpoznają i z daleka krzyczą: „O, pan Milewicz!”. Wstydził się tego. Bardzo mu zależało, żeby znaleźć pracę w mediach. Chciał w niej wykorzystać dobrą znajomość francuskiego.

– Waldek od początku chciał pracować w telewizji – wspomina Krystyna Zagajewska. – Patrzyliśmy na ten pomysł z przymrużeniem oka, ale on go zrealizował. Taki był z niego twardziel, że jak czegoś chciał, osiągał to.

– Brat kiedyś do mnie przyszedł i powiedział: „Nie mogę pracować w szkole, bo pozabijam te wszystkie dzieciaki” – opowiada Stanisław Milewicz. – „Poszukaj dla mnie jakiejś pracy”. Mój kolega był kadrowcem w Polskiej Agencji Prasowej i wziął go do siebie. Waldek popracował tam przez miesiąc czy dwa przy tłumaczeniu depesz, ale mu się nie spodobało. „To jest wyzysk człowieka przez człowieka”,

stwierdził i zrezygnował. Potem zapytałem kolegę, który był zastępcą komendanta ochrony w Telewizji Polskiej, czy znalazłaby się jakaś praca dla Waldka. Zaczął u nich pracować jako ochroniarz. Po jakimś czasie spotkałem znajomego wicedyrektora Biura Współpracy z Zagranicą. Mówię, że mój brat szuka pracy, zna francuski. On na to: „To dawaj go do nas. Akurat potrzebuję kogoś na odcinek francuski”. Poszedł na rozmowę o pracę i został przyjęty.

– Pod koniec lat 70. Maciej Szczepański, ówczesny przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji, wymyślił, że będzie zarabiać na usługach dla zachodnich stacji – relacjonuje Igor Bunda, kolega Milewicza z Biura Współpracy z Zagranicą. – Na Woronicza wybudowano wielką dekorację: ulicę Baker Street z mieszkaniami, pubami, sklepami i kręcono tam w latach 1979–1980 *Sherlocka Holmesa* z brytyjskim reżyserem Sheldonem Reynoldsem. W 1979 roku ogłoszono konkurs dla kandydatów na tak zwanych „kierowników produkcji telewizyjnej i filmowej”. Wziąłem w nim udział, dostałem takie same pytania, jakie zadają na wydziale produkcji w łódzkiej filmówce. Przyjęto mnie z dziesięcioma innymi osobami. W marcu 1980 roku wysłano nas na szkolenie do różnych redakcji, żebyśmy zobaczyli, jak z bliska wygląda produkcja. Kilka miesięcy później zgarnęli mnie na rok do wojska. Wyszedłem we wrześniu 1981 roku, potem ogłoszono stan wojenny, dostałem urlop okolicznościowy i siedziałem w domu. Ponieważ znam trzy języki obce, zacząłem się kręcić koło Biura Współpracy z Zagranicą. Trafiłem do nich w kwietniu 1982 roku, w tym samym czasie co Waldek. Biuro składało się z kilku działów. Pierwszy nazywaliśmy biurem podróży, bo trzymali tam paszporty, załatwiali bilety lotnicze, bilety kolejowe, wypłacali diety. Był też dział od wymiany z innymi telewizjami: w ramach umowy o współpracę wymieniano się filmami, materiałami telewizyjnymi oraz radiowymi, czyli muzyką. Z Milewiczem pracowaliśmy w dziale umów i obsługi cudzoziemców. Kiedy kończyły się umowy, musieliśmy je przedłużyć. Z demoludami nie było problemu, bo

wystarczyło wysłać do partnerów informację, że umowa się kończy, oraz omówić wszystkie szczegóły przed jej przedłużeniem. Dużo trudniej było z telewizjami zachodnimi. Naszym drugim zadaniem było organizowanie pobytu ekip zagranicznych w Polsce. Był stan wojenny, więc jeśli jakaś zachodnia ekipa chciała przyjechać na zdjęcia, mogła zrobić to w ramach umowy o wymianie zawartej z nami lub zwracała się do Interpressu\* i oni załatwiali im akredytacje, hotele, bilety, uzgadniali miejsca zdjęciowe, rozmówców. Za dużo pracy nie mieliśmy. Chyba dwa razy miałem do czynienia z ekipą hiszpańskiej telewizji, która kręciła film o Karolu Wojtyłe. Waldek odpowiadał za ekipy francuskojęzyczne.

– Mąż lubił tę pracę – uważa Anna Milewicz. – Kiedyś byłam z Moniką u rodziców w Sochaczewie, miała wtedy około dwóch lat. Waldek akurat przyjechał ze spikerką z Rumunii do Żelazowej Woli. Po drodze wpadł do domu rodziców, bo koniecznie chciał jej pokazać swoją córeczkę. Zabrał Monikę na dwie godziny i potem wrócił z nią rozpromieniony. Opowiadał mi różne zasłyszane plotki.

– Biuro Współpracy z Zagranicą mieściło się w biurowcu A przy Woronicza – wspomina Igor Bunda. – Parę pięter niżej urzędował szef Radiokomitetu. Nudziliśmy się w pracy, bo najczęściej odsiadaliśmy godziny. Z Waldkiem dzieliliśmy niedolę i siłą rzeczy kumpłowaliśmy się, od czasu do czasu spotykaliśmy się u niego w kawalerce na wódkę. W 1984 roku pojechałem po niego z Anią i małą Moniką na lotnisko, kiedy wracał z Francji, gdzie pojechał roznosić foldery reklamowe. Poznałem jego rodzeństwo, czasami pomagałem mu przy „majsterkowaniu” w mieszkaniu.

---

\* Polska Agencja Interpress – agencja prasowa działająca w latach 1967–1991, utworzona w wyniku połączenia Zachodniej Agencji Prasowej, Redakcji Serwisu Zagranicznego Agencji Robotniczej oraz Wydawnictwa Polonia. Dostarczała informacji dla serwisów zagranicznych oraz obsługiwała zagranicznych dziennikarzy. Prowadziła również działalność wydawniczą.

Marzyliśmy o tym, żeby uciec od biurek i dalej się rozwijać. Wcześniej miałem praktyki „produkcyjne” w *Dzienniku Telewizyjnym*, więc kolega Henio Suchar zaczął przekonywać redaktora Grzegorza Woźniaka, że bardziej przydam się w redakcji zagranicznej. Na początku przychodziłem do nich popołudniami i robiłem jakieś drobne materiały. Po kilku tygodniach redaktor Woźniak mówi: „Dobra, to piszemy kwit, żeby cię przenieść z BWZ do *Dziennika*”.

Kiedyś spotkaliśmy się z Waldekem na jakimś „spożyciu” i sarknął, że w BWZ z nudów można ocipieć. Powiedziałem, że spróbuję zagadać z szefostwem. Czułem się już pewniej w *Dzienniku*, więc zacząłem wszystkim mówić, że mam fajnego kolegę, który biegle zna francuski. W końcu redaktor Woźniak poprosił, żebym go przyprowadził. Waldek zaczął tak samo jak ja. Na początku snuł się po redakcji, przetłumaczył jakiś tekst, zrobił felieton. Po jakimś czasie dostał etat i stał się kowalem własnego losu.

*Dziennik Telewizyjny* jest głównym programem informacyjnym w TVP1. W 1958 roku zastępuje *Wiadomości Dnia*. W sierpniu 1980 roku jest zaciekle krytykowany przez opozycję jako narzędzie propagandowe.

– Rok przed wprowadzeniem stanu wojennego w TVP na Woronicza powstawały komórki Solidarności – wspomina jeden z pracowników TVP. – Ten pozorny luz spowodował, że potem wielu ludzi straciło pracę. Na placu Powstańców, gdzie były wydawane programy informacyjne, dziennikarze starali się dopasować do rzeczywistości i robili to, co im kazano, bo wiedzieli, że w przeciwnym razie mogą zostać zwolnieni.

Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku prezentrzy *Dziennika Telewizyjnego* występują w mundurach wojskowych. Milewicz do działu zagranicznego trafia w 1984 roku.

IGOR BUNDA: *Dziennik* ukazywał się trzy razy dziennie. Pracowaliśmy według grafiku dyżurów. Trzeba było zrobić serwis

filmowy do wszystkich trzech wydań, czyli napisać tekst informacji do „obrazków” otrzymanych z Eurowizji, Interwizji oraz brytyjskiej Independent Television News i zmontować materiał filmowy. Kiedy wypadał dyżur interwizyjny, musieliśmy przygotować z materiałów krajowych serwis filmowy, opisać w języku rosyjskim, czego dotyczą zdjęcia, i przekazać je przez Interwizję do demoludów. Trzecim rodzajem dyżurów był reportaż. Obsługiwaliśmy wszystko, co działo się w Polsce i miało kontekst zagraniczny, na przykład przyjazd Francesco Cruccitiego, który operował Jana Pawła II po zamachu w maju 1981 roku. Mieliśmy też obowiązek robienia felietonów tematycznych, choćby o huraganach na świecie czy „walce narodowo-wyzwoleńczej ludu czarnej Afryki”. Były to dłuższe materiały, które wchodziły do niedzielnych *Dzienników*.

Źródłem informacji były dla nas depesze agencyjne PAP, Reutersa, France Presse, Deutsche Presse, United Press International. Głównie bazowaliśmy na serwisach anglojęzycznych. W naszym dziale wszyscy posługiwali się tym językiem, przynajmniej na podstawowym poziomie. Waldek znał francuski, który był językiem dyplomacji do lat 70. XX wieku. W redakcji zagranicznej zobaczył, że bez angielskiego to jak bez ręki, i zaczął się uczyć tego języka.

Nasze materiały musiały mieć odpowiednią narrację. Na Zachodzie wydarzały się same katastrofy, powodzie, ataki terrorystów, a Wschód to była kraina mlekiem i miodem płynąca, gdzie samoloty nigdy nie spadały.

Wszyscy woleliśmy dyżury reporterskie, bo robienie serwisów kosztowało sporo nerwów. Kiedyś zrobiłem temat o tym, że we Francji drastycznie podskoczyły ceny żywności i największa centrala związkowa zorganizowała z tego powodu strajk. W serwisie eurowizyjnym znalazłem zdjęcia z paryskich hal targowych ze stoiskiem z warzywami. Widać było kartki z przekreślonymi cenami produktów. Gdy pod baczny okiem cenzora nacytywano tekst, wydawca powiedział: „Stop, ten materiał nie może pójść!”. Ale dlaczego?

zdziwiłem się. „Nie widzisz, że na tym straganie warzywa są umyte i posortowane?” Nie pokazaliśmy tego, bo w Polsce marchew w warzywniaku była pokryta ziemią.

Innym razem na dyżurze dowiedziałem się, że Wydział Propagandy KC PZPR wydał dyrektywę, że mamy zrobić informację o wojnie algierskiej i powiedzieć, że François Mitterrand, który był wówczas ministrem spraw wewnętrznych, pozwolił na torturowanie Algierczyków. Była to zemsta za to, że na jakimś forum międzynarodowym skrytykował polski rząd za wprowadzenie stanu wojennego. Wziąłem tekst z Polskiej Agencji Prasowej, znalazłem odpowiednie obrazki archiwalne i poszedłem z tym do Marka Barańskiego, tego dnia wydawcy głównego dziennika o 19.30. Powiedziałem mu: Marek, to jest tak zwany musik, kupa z robalami, którą kazali mi zrobić. Proszę, nie podpisuj tego moim nazwiskiem. Niech to idzie jako felieton redakcji, bo jest mi po prostu wstyd. Nieraz tak robiłem, to była jedyna forma obrony.

Kiedy pracowaliśmy z Waldkiem w *Dzienniku*, to po prostu szliśmy do roboty, za którą dostawaliśmy niezłe pieniądze. Mój tata w tym czasie pracował w Centrali Handlu Zagranicznego. Mając podstawową pensję plus dyżury, zarabiałem trzy razy tyle co on.

Początki pracy Milewicza w dziale zagranicznym pamięta też Sławomira Śliwińska, która do telewizji trafiła mniej więcej w tym samym czasie:

– Waldek szybko wtopił się w nasz zespół, bo był bardzo żywy, komunikatywny, koleżeński i dowcipny. W redakcji zagranicznej w czasie dyżurów musieliśmy pisać teksty, montować obrazki do tematów związanych z wydarzeniami na świecie i on wszedł w to jak w masło. Zawsze był bardzo staranny, wręcz pedantyczny. Do tego miał lekką rękę do pisania tekstów, wyciągał smaczki, które ktoś inny by pominął. Miał też dobry, niski głos. Nie wiem, czy chodził na zajęcia z emisji głosu, ale jego tembr głosu zmieniał się w miarę

upływu czasu i nabywania doświadczenia. Umiał nadać nim dramatyzm nawet w momentach, kiedy obraz był z różnych powodów mało przejmujący. Czytanie to rodzaj aktorstwa, każdy czytający powinien mieć taką umiejętność, ale niektórym trudno to przychodzi. Waldkowi wszystko przychodziło łatwo. Mieliśmy też za zadanie obsługiwać wizyty zagraniczne. Było widać, że mu się to podoba. Ekran go lubił, z wzajemnością. Milewicz starał się być nietuzinkowy, zawsze w swoich relacjach chciał przekazać kawałek siebie.

– Przed wprowadzeniem stanu wojennego pracowałem dla CBS, amerykańskiej stacji telewizyjnej jako operator, ale zrezygnowałem z pracy dla Amerykanów, bo bałem się, że przez to zostanę zmuszony do współpracy z SB – opowiada Maciej Walczak, operator i dokumentalista. – Bardzo łatwo w tamtych czasach było złamać ludzi. Zacząłem pracować w TVP, bo nie było wtedy innej alternatywy. W tamtym czasie pojawiło się tam sporo młodych dziennikarzy, często nie były to osoby przypadkowe, tylko ludzie z rozdań towarzyskich. Waldek z całą pewnością się wyróżniał, bo miał doświadczenie w sprawach międzynarodowych i pewną europejską ogładę. Mówił w jakichś obcych językach, przeczytał kilka książek. Nie mogę powiedzieć, że był niepokorny, bo na placu Powstańców o nic się nie walczyło, tylko wykonywało polecenia. Ktoś mógłby powiedzieć, że budował komunizm, ale to też nieprawda. Nie był nikczemny ani nie podlizywał się nikomu, żeby zwrócić na siebie uwagę. Robił, co do niego należało, i szedł do domu. Czasem spotykaliśmy się na planie, tak jak wynikało to z grafiku. To, co robiliśmy, trudno nazwać telewizją, po prostu wykonywaliśmy polecenia. Decydentów interesowały posiedzenia Biura Politycznego albo inspekcja robotniczo-chłopska zwiedzająca nowoczesny zakład pracy. Wszystko sprowadzało się do uścisków, defilad i prawienia kompletów. Byliśmy z Milewiczem między innymi przy podpisaniu umowy w sprawie budowy malutkiego, trzypiętrowego hotelu Holiday Inn w Warszawie w pobliżu Pałacu Kultury. Budowa budynku

przez zagraniczną firmę była prawdziwym wydarzeniem i mówiono o tym w kraju przez dwa dni.

– Waldek był dumny z pracy w *Dzienniku Telewizyjnym* i stał się jeszcze bardziej pewny siebie – uważa Grażyna Jatkowska. – W telewizji rozwinął skrzydła, przez chwilę był jednym z prowadzących główne wydanie\*. Cieszyliśmy się z Tadkiem, że mamy znajomego, który robi karierę medialną. Kiedyś na Gocławiu zorganizowaliśmy prywatkę, była na niej moja szkolna koleżanka. „No, widziałam cię w *Dzienniku*, widziałam”, zwróciła się do Waldka. „Ale ci głosik drżał”. I zaczęła ten głosik naśladować, a że miała zdolności aktorskie, wyszło całkiem zabawnie. Wszyscy się śmialiśmy, poza Waldkiem, naturalnie. Nie znosił krytyki, źle ją przyjmował, śmiać to się mógł on z innych, nie inni z niego!

---

\* Waldemar Milewicz czasem czytał zagraniczne wiadomości, potem prowadził wieczorne wydanie *Dziennika*.

## KOREA PÓŁNOCNA

**P**olska jest jednym z pierwszych krajów, które uznały powstanie Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. W czasie wojny koreańskiej rząd PRL wspiera Koreę Północną, a po zakończeniu konfliktu Polska wchodzi do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych. W latach 60. XX wieku następuje ochłodzenie stosunków pomiędzy oboma krajami, głównie ze względu na konflikt rosyjsko-chiński. Polska popiera stanowisko Moskwy, KRLD sprzyja Chinom. Sytuacja zmienia się pod koniec lat 70.

27 maja 1984 roku o godzinie 10.00 pociąg z rządową delegacją Korei Północnej wjeżdża na peron 3 Dworca Centralnego w Warszawie. Wokół budynku powiewają północnokoreańskie i polskie flagi, przed dworcem zgromadzili się warszawiacy. Dwa lata później Waldemar Milewicz leci z generałem Jaruzelskim do Phenianu.

– Była to wieloetapowa podróż i każdy z krajów obsługiwał inny dziennikarz – mówi Grzegorz Melnik, kolega Waldka z *Dziennika Telewizyjnego*. – Milewicz był głosem młodego pokolenia. Potem mu ten wyjazd inni dziennikarze wypominali w czasie „polowania

na czarownice”, czyli rozliczania dziennikarzy, którzy zaczęli karierę w czasach komunistycznych, jakby to było coś wstydlivego, ale patrząc na to zupełnie obiektywnie, miał po prostu robotę do wykonania.

Wiele lat później w wywiadzie dla periodyku „Press” Milewicz powie: „Nie sądzę jednak, by ówczesny reżim umocnił się z powodu mojej pracy w telewizji. Nigdy nie zrobiłem nikomu świństwa. Nie należałem do partii, choć w zamian za członkostwo proponowano mi prowadzenie *Dziennika Telewizyjnego*. To był czas kompromisów”<sup>\*</sup>.

– Towarzyszyłem rządowej delegacji – wspomina Maciej Walczak. – Do Mongolii, Korei i Chin jeszcze przed naszym przylocem poleciało trzech innych dziennikarzy. Tam na nas czekali i zbierali materiały, żeby potem zrobić z nich dwudziestominutowe reportaże. Waldek odpowiadał za Koreę Północną. Jego operatorem był nieżyjący już Jurek Żukowski, który był człowiekiem z dużym doświadczeniem i często z nim pracował. Waldek sam wybrał go do współpracy, bo miał do niego zaufanie. Chodzili za przydzielonym im Koreańczykiem i filmowali tylko to, na co ten pozwalał.

– Z generałem Jaruzelskim na pokładzie odbyliśmy dziewiczy rejs samolotem Tu-154, który potem rozbił się w Smoleńsku – mówi anonimowo jeden z uczestników tej podróży. – Po latach piloci powiedzieli nam, że gdy opuszczaliśmy Koreę, bak okazał się nieszczelny i paliwo łało się na pracujący silnik. To cud, że dolecieliśmy do celu.

Waldemar Milewicz relacjonuje dla *Dziennika Telewizyjnego*: „W stolicy Korei Północnej samolot ląduje o godzinie 17.00 czasu miejscowego. Hasła w języku polskim, biało-czerwone flagi, powitanie z sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego Partii Pracy

---

\* R. Gluza, *Mistrz atmosfery. Rozmowa z Waldemarem Milewiczem – Dziennikarzem Roku 2001*, „Press” 2002, nr 72.

Korei, prezydentem republiki Kim Ir Senem. Raport dowódcy kompanii. Odegrano hymny narodowe obu państw. Obaj mężowie stanu dokonują przeglądu do kompanii honorowej. Powitanie z przedstawicielami władz partyjno-państwowych KRLD oraz członkami korpusu dyplomatycznego. Kwiaty od koreańskich dzieci. Defilada kompanii honorowej. Kwiaty od dzieci polskich. Bezpośrednie powitanie Wojciecha Jaruzelskiego z mieszkańcami koreańskiej stolicy oraz z grupą polskich obywateli. Jest wśród nich również młodzież ZSMP z brygady imienia Kim Dzong Ila przebywająca z wizytą u koreańskich przyjaciół”.

Kolumna samochodów z Kim Ir Senem i Wojciechem Jaruzelskim udaje się do centrum miasta, na trasie generała wita tłum mieszkańców. Końcowa część uroczystości odbywa się na centralnym placu miasta.

– Człowiek, który się mną „opiekował”, w pewnym momencie powiedział: „Miej gotową kamerę, bo za chwilę coś się wydarzy” – mówi Maciej Walczak. – Zobaczyłem szpalery ludzi, w pewnym momencie zbliżały się samochody z polską delegacją rządową i Ir Senem. W ich kierunku wybiegła z krzykiem grupka kobiet. Rzuciły się na kolana i zaczęły chustkami zdjętymi z głów czyścić asfalt. W głowie się nie mieści, ale do Korei zostały wysłane kostiumy ludowe z Teatru Wielkiego w Warszawie i Łodzi. Koreańscy tancerze przebrani w nasze stroje tańczyli krakowiaki i śpiewali *Kukuleczkę*.

Milewicz przygotowuje relację ze spotkania obu przywódców w pałacu prezydenckim w Phenianie: „Rozpoczynają się polsko-koreańskie rozmowy plenarne. Przewodniczy w nich ze strony polskiej Wojciech Jaruzelski, ze strony Korei Ludowej Kim Ir Sen. W toku obrad poinformowano się wzajemnie o aktualnej sytuacji wewnętrznej w krajach. Wyrażano zadowolenie z realizacji ustaleń podjętych podczas ostatniej wizyty Kim Ir Sena w naszym kraju.

Podkreślono konieczność dalszego zacieśnienia kontaktów gospodarczych, kulturalnych i naukowo-technicznych. Zademonstrowano jedność poglądów w ocenie aktualnej sytuacji międzynarodowej. Strona polska wyraziła całkowite poparcie dla pokojowych inicjatyw ludowej Korei zmierzających do likwidacji napięcia na Półwyspie Koreańskim (...)

Następnie Milewicz towarzyszy delegacji w realizacji kolejnych punktów programu. Jest obecny przy złożeniu wieńca pod pomnikiem na cmentarzu rewolucjonistów oraz obserwuje, jak pod pomnikiem wyzwolenia polscy delegaci w obecności Wojciecha Jaruzelskiego i Ri Jong-oka, wiceprezydenta Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, oddają hołd żołnierzom armii radzieckiej poległym w walce o wyzwolenie Korei. Po południu jadą do Pałacu Nauki w Phenianie, zwiedzają pracownie naukowe i z dachu podziwiają widok na miasto pełne kolorowych wieżowców.

Milewicz mówi do kamery, stojąc na ulicy: „Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna od dawna jest dla nas interesującym partnerem. Ściśle współdziałały w dziedzinie górnictwa, coraz większego znaczenia nabiera współpraca w przemyśle maszynowym. Bez koreańskich surowców: magnezytu, cynku czy talku nie byłaby w Polsce możliwa produkcja wielu niezbędnych artykułów. W naszych sklepach coraz częściej można znaleźć artykuły koreańskiego przemysłu lekkiego. Lista naszych wzajemnych powiązań jest długa, ale, jak podkreśla się tu, jej wzbogacenie o nowe elementy leży w interesie obu naszych narodów”.

MACIEJ WALCZAK: W Korei zrozumiałem, że bieda może być godna. Tam ludzie mieli dwie koszule, ale codziennie były wykrochmalone i miały przyszyte różne guziki. Ulice bardzo czyste. Zatrzymaliśmy się w przyjemnym hotelu. Pracownicy ambasady zwrócili nam uwagę, że na stoliku nocnym przy łóżku będą leżały książki w języku polskim, które opisują dokonania Kim Ir Sena. Powiedzieli,

że musimy je z sobą zabrać, bo się obrażą, jeśli tego nie zrobimy. Nie wolno nam było ich wyrzucić.

Tam wszystko nas dziwiło, wszystko było dla nas tematem do rozmowy. Na przykład przy wejściu do każdego budynku widzieliśmy gigantyczne malowidła. Na nich wśród dzieci czy studentów stał Kim Ir Sen, zawsze o głowę od nich wyższy. W Korei Północnej nic nie było przypadkowe. Poszedłem robić zdjęcia do przedszkola. Na dziedzińcu bujała się dwójka dzieci ubranych na niebiesko. Obok była karuzela, gdzie dwójka dzieci odpychała się nogą i kręciła w kółko. Oczywiście były ubrane na czerwono. Niebieski i czerwony to kolory flagi Korei Północnej. W środku, w bawialni, na podłodze pod ścianą siedziały maluchy w jednakowych mundurkach i miałem wrażenie, że są sparaliżowane. W ogóle się nie poruszały. Patrzyły na taką olbrzymią półkę po drugiej stronie pokoju, z zabawkami, które nie były jeszcze rozpakowane.

W Korei byliśmy przez kilka dni. W czasie naszego pobytu na stadionie na około 40 tysięcy ludzi odbył się wiec miłości i współpracy między Polską a Koreą Północną. Wszystkie miejsca były zajęte, dwie trzecie trybuny ruchome: ludzie przedstawiali na przykład lokomotywę, wstawali i siadali, i miało się wrażenie, że obracają się jej koła. Takie widowisko trwało około godziny. Tego dnia robiliśmy z Waldkiem materiał na dwie kamery. Zdjęcia nie wchodziły w codzienne przekazy, ale miały być wykorzystane w dwudziestominutowym reportażu. Podzieliliśmy się zadaniami z operatorem Jurkiem Żukowskim.

Waldek poprosił, żebym przeszedł się z kamerą przez dwa sektory, czyli jakieś 30 metrów, stanął przed trybuną Kim Ir Sena i z przodu zrobił ujęcia. Nie byłem zachwycony jego propozycją. Mieliliśmy wyznaczone swoje miejsce, a tam nikt się nie wyłamywał. To był kraj, w którym nie było żartów. Wiedziałem, że mogą mnie za to spotkać nieprzyjemne konsekwencje. Nawet kabel od kamery był położony na wysypanej wapnem linii, żeby był niewidoczny.

Owszem, zrobię to, ale jeśli pójdziemy razem, powiedziałem. „A do czego ja ci jestem potrzebny?”, zapytał. Bardzo mu się nie spodobało, że mu odmówiłem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że już nie będzie chciał ze mną pracować.

## NARODZINY KORESPONDENTA WOJENNEGO

Po 1989 roku dziennikarze mają wrażenie, że Telewizja Polska zaczyna działać zgodnie ze światowymi standardami. *Dziennik Telewizyjny* zastąpiły *Wiadomości*. Nie ma już cenzury, zmieniają się studio i prowadzący. Wzorem jest BBC. W tym czasie *Wiadomości* nie mają konkurencji, *Informacje* Polsatu pojawiają się dopiero w 1993 roku, a *Fakty* TVN w 1997.

– Jacek Snopkiewicz, ówczesny redaktor naczelny i dyrektor programowy *Wiadomości*, sam był reporterem – mówi Grzegorz Melnik. – Uważał, że siłą każdego programu informacyjnego są relacje wysłanników z różnych miejsc na świecie, gdzie coś się dzieje. A wtedy działo się bardzo dużo i u widzów wyczuwało się głód obiektywnych informacji. 11 marca 1990 roku Litwa ogłosiła niepodległość, w odpowiedzi na to Moskwa wprowadziła czołgi do Wilna. W styczniu 1991 roku na prośbę szefa redakcji zagranicznej pojechaliliśmy tam z Milewiczem i operatorem. Znaliśmy dobrze rosyjski i na miejscu dzieliliśmy się pracą. Zależało nam, żeby nie przegapić żadnego ważnego zdarzenia. W stolicy zobaczyliśmy zablokowane drogi

i ulice, w parlamencie zebrała się opozycja. W ten sposób starali się go bronić. Spędzaliśmy w środku sporo czasu, bo tam odbywały się różne spotkania, konferencje prasowe i łatwo było kogoś ważnego złapać, żeby poprosić o wypowiedź. Ludzie czuli się jak w oblężonej twierdzy. My z Waldkiem przeżyliśmy stan wojenny i nie robiło to na nas specjalnego wrażenia.

W wolnym czasie Waldek odwiedza bratanka ciotecznego Wiktora Antonowicza.

– Przyjechał do nas, zjedliśmy, popiliśmy i musiał wracać do hotelu, który był oddalony od nas o jakieś dziesięć kilometrów – wspomina Wiktor Antonowicz. – Pech chciał, że było już po 21.00 i o tej godzinie ze względu na obostrzenia nie wolno było wychodzić z domów. W dodatku naprzeciwko naszego domu była jednostka wojskowa, z której wyjeżdżały czołgi na miasto. Nie mogliśmy zamówić taksówki, ale wyszliśmy na ulicę, żeby zatrzymać jakiś prywatny samochód. Waldemar zaczął śpiewać na głos. Powiedziałem: Waldek, wpadniemy w tarapaty, bo nie można z domu wychodzić, a ty na siebie zwracasz uwagę. „Mnie wszystko jedno, bo ja taki jestem”, odparł. W końcu jakiś samochód się zatrzymał i podwiózł go.

– Do przesilenia doszło już po naszym przyjeździe. 13 stycznia 1991 roku dotarła do nas informacja, że Armia Radziecka próbuje dokonać szturm na wieżę telewizyjną, która była ochraniana przez cywili – kontynuuje opowieść Grzegorz Melnik. – Nasz operator się przestraszył i odmówił pracy. W tej sytuacji wsiedliśmy z Waldkiem w taksówkę i pojechaliśmy tam, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wieża znajdowała się w odosobnionym miejscu, niedaleko stało jedno osiedle. Znaleźliśmy tam jakiegoś Litwina freelancera z całkiem przyzwoitą kamerą, który zgodził się z nami pracować. Był wieczór, pod wieżę przyszło mnóstwo osób. Ludzie kładli się na ziemi, żeby nie pozwolić przejechać czołgom rosyjskim. Kule świstały nam nad głowami, zginęło od nich kilkanaście osób, nie bardzo wiedzieliśmy, kto strzela. Waldek nadawał stamtąd relację. Za nim stał czołg

i w pewnym momencie poruszył wieżyczką. Gdy Waldek to usłyszał, spojrział w tamtym kierunku i lekko się uchylił, ale nie przestał nadawać relacji. Powstał emocjonujący materiał.

– Pojechał tam młody, niedoświadczony człowiek, w dodatku ojciec małego dziecka – komentuje Maciej Walczak. – Niebezpieczeństwo było wielkie, ale on dał sobie radę i zrobił relację, mając za plecami kręcący się czołg Armii Czerwonej. Przecież te czołgi rozjeżdżały w Wilnie ludzi! Moim zdaniem właśnie wtedy narodził się Milewicz, którego dzisiaj znamy. Był w miejscu, którego wcześniej nie opisał żaden polski dziennikarz. Stał się naszymi oczami.

– Materiał zrobił na mnie duże wrażenie – przyznaje Igor Bunda. – Gdy go oglądałem, po plecach przeszły mi dreszcze. Wtedy już nie mieliśmy bliskiego kontaktu z Waldkiem. W czerwcu 1986 roku przeszedłem do *Teleexpressu*, spotykaliśmy się na stołówce, czasem szliśmy na papierosa i kawę do hotelu Warszawa. Obserwowałem jego karierę z daleka. Po powrocie wpadliśmy na siebie i zapytałem: bałeś się? Odpowiedział: „Oczywiście, każdy by się bał”. Sądzę, że Waldek świadomie zaczął jeździć w takie miejsca, bo wiedział, że jest to szansa, żeby się wybić. Mało kto chciał jeździć na wojny, przecież tam było niebezpiecznie.

GRZEGORZ MELNIK: Imperium rosyjskie chwiało się, przyjechało mnóstwo zachodnich ekip dziennikarskich, materiały wysłaliśmy z lokalnej telewizji, która była przez nie oblegana. Dlatego udawało nam się wysłać tylko dziesięciominutowe offy, czyli nagrany głos dziennikarza i surówkę, czyli zdjęcia bez montażu. Materiał składali nasi koledzy w Polsce. Szedł w *Wiadomościach* i innych redakcjach, na przykład w *Teleexpressie*. Z tego wyjazdu powstał potem nawet reportaż, telewizja wysyłała go na różne konkursy.

Gdy na Litwie nieco przycichło, pojechałem na Łotwę. Później dołączył do mnie Waldek. Sytuacja w Rydze wyglądała podobnie: na ulicach siły niepodległościowe ustawiły barykady, protestujący palili ogniska, grali muzykę ludową. Pamiętam szturm na Ministerstwo

Spraw Wewnętrznych. Rosyjskie jednostki specjalne próbowały odbić budynek z rąk cywili, doszło do strzelaniny. Byliśmy niedaleko i udało nam się sfilmować eksplozję. Chyba coś poszło nie tak, bo Rosjanie dostali rozkaz odwrotu. Kilku z nich uciekało szeroką aleją samochodem osobowym. W pewnym momencie przejechali obok nas. Jeden z nich był zamaskowany, wychylił się przez okno, w rękę trzymał giwerę. „Na ziemię”, krzyczał po rosyjsku. Przestraszeni w okamgnieniu padliśmy na trawnik i czekaliśmy, aż nas miną. Nie spodziewaliśmy się tego, ale udało nam się to nagrać. Takie zdjęcia są na wagę złota.

Po powrocie do Polski poszliśmy z Milewiczem na kolegium redakcyjne i wszyscy bili nam brawo. „Zrobiliście kawał dobrej roboty”, mówili. Oczywiście czuliśmy satysfakcję, że ktoś nas docenia, bo to była ciężka praca od świtu do nocy. Mieliśmy też świadomość, że jesteśmy świadkami tworzenia się historii. U nas było już po przewrocie, tam nie było wiadomo, co jeszcze się wydarzy.

W tamtych czasach do telewizji przychodziły różne propozycje staży z Zachodu, ale najczęściej grzęzły na Woronicza. Waldek dowiedział się o jednej z ofert i wyjechał na stypendium do Francji. W maju 1992 roku pojechaliśmy z żoną na urlop do Paryża. Udało nam się z nim spotkać w jakiejś zatłoczonej restauracji. Mówił, że jest zadowolony z pobytu. „Widzisz, oni dużo jeżdżą i relacjonują z różnych miejsc na świecie”, ekscytował się. „U nas też tak powinno być”. Wrócił do Polski po kilku miesiącach. Najprawdopodobniej ten staż uchronił go przed zwolnieniem, bo w tym czasie w TVP była wielka czystka. Wiele osób ze starej ekipy straciło pracę, niektórzy puciekali na urlopy i zwolnienia. W pewnym momencie w naszej redakcji zostałem tylko ja z kolegą. Pracowaliśmy bez przerwy. Pół roku trwało, zanim przyszli nowi ludzie i zaczęli nam pomagać.

Nieco innego zdania jest Igor Bunda:

– Nowa ekipa dosyć ostro potraktowała tych, którzy byli odani władzy, natomiast nie ruszali zwykłych pracowników. Poza

zwyczajną pracą na taśmie nie zrobiliśmy nic, do czego można by się było przyczepić. Niektórzy zapłacili za nadgorliwość. W redakcji krajowej pracował pewien ówczesnie znany dziennikarz. Na dyżurze kazali mu zrobić materiał o tym, jak ekstrema Solidarności wychodzi z kościoła i zbiera się po nabożeństwie. Pojechał tam z ekipą, ludzie wyszli z kościoła i było spokojnie. Ponieważ potrzebował „dobrych zdjęć”, zdjął z jakiegoś budynku flagę i ją podpalił zapalniczką. Potem zaczął nią machać przed kamerą, udając, że to członek Solidarności. Miał pecha, bo ubecja go wtedy sfotografowała. My nie braliśmy udziału w żadnych prowokacjach.

GRZEGORZ MELNIK: Po powrocie Waldka ze stażu zaczęły się niepokoje w Somalii. Po obaleniu somalijskiego dyktatora Siada Barrego w 1991 roku doszło do wojny domowej, w którą angażowały się ONZ, Etiopia i Unia Afrykańska. Stwierdziliśmy z Waldkiem, że skoro świat interesuje się tym tematem, warto byłoby tam pojechać. Nasi starsi koledzy z działu dziwili się, ale jakoś udało nam się przekonać kierownictwo do pomysłu. Pojawił się problem, bo w tym czasie nie latały tam samoloty. Wtedy Waldek uruchomił swoje kontakty we Francji. Francuzi mieli w Somalii wojsko i zgodzili się nas zabrać ze swojej bazy w Dżibuti do Mogadiszu. Polecieliśmy tam we trzech z naszym operatorem. Nie bardzo wiedzieliśmy, czego możemy spodziewać się na miejscu. Okazało się, że to zupełnie inny świat. Już na lotnisku zobaczyliśmy stertę bomb, może były rozbrojone, a może nie. Nikt specjalnie się tym nie interesował. W przeciwieństwie do innych zachodnich ekip nie byliśmy odpowiednio przygotowani pod względem logistycznym. Nie zabraliśmy z sobą śpiworów ani menażek. Byliśmy młodzi i naiwni, po prostu cieszyliśmy się, że udało nam się dostać na miejsce.

W Mogadiszu pojedyncze domy były otoczone ponad dwumetrowymi murami, na ulicach miejscowi sprzedawali jedzenie w małych kramikach, na przedmieściach widzieliśmy biedne chałupki. Uciekinierzy spali w budach zrobionych z kartonów, folii, z czego się

dało. Największe wrażenie robiły na nas ogniska, które miejscowi rozpalali w nocy w tych budach z kartonów.

W mieście znajdował się hotel, ale nie było dla nas miejsc, bo zajęli go amerykańscy dziennikarze. Nocowaliśmy w siedzibie francuskiej organizacji humanitarnej, na materacach rozłożonych na balkonie. Przykryłem się poszewką od pościeli, którą spakowała mi żona, a chłopaki czym się dało. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że przydałyby się moskitiery. Francuzi dawali nam jedzenie, na szczęście, bo okazało się, że z tym jest duży problem, a my nie zabraliśmy z sobą żadnych konserw. Raz pojechałem poza miasto pokazać, jak organizacja humanitarna rozdaje dary. Na ulicy stała budka z grillowanym mięsem, pewnie koziną. Kupiłem jeden szaszłyk na spróbowanie, ale nie dało się tego przełknąć. O wodę też było ciężko, bo nie sprzedawali jej na bazarkach. Znaleźliśmy jakieś plastikowe butelki i kombinowaliśmy. Czasem Amerykanie dawali nam wodę z cysterny.

Jeśli chodzi o pracę, sytuacja wyglądała dużo lepiej. W Mogadyszku była techniczna agenda Eurowizji\*, pomagali w montażu i przesyłali materiały do Polski. Byliśmy z Waldkiem we dwóch, więc dzieliliśmy się obowiązkami. Jednego dnia jeden z nas jechał na zdjęcia, drugi zajmował się montowaniem i emisją newsów. Na drugi dzień zamienialiśmy się rolami. Z pomocą Francuzów wynajęliśmy samochód typu pick-up z kierowcą i dwoma ochroniarzami. Mężczyźni mieli przy sobie stare karabiny na pokaz. Wszystkie ekipy dziennikarskie w ten sposób poruszały się po kraju.

Tematy były przeróżne, ale najbardziej skupiliśmy się na operacji pod kryptonimem „Przywrócić nadzieję” z mandatem Rady

---

\* Europejska Unia Nadawców (EBU) – powstała w 1950 r. organizacja skupiająca publiczne stacje radiowe i telewizyjne Europy Zachodniej w celu wymiany realizowanych programów i wspólnej produkcji audycji dla widzów w wielu krajach. Składa się ze 115 organizacji członkowskich w 56 krajach i 34 członków stowarzyszonych z 21 krajów.

Bezpieczeństwa ONZ. Rozpoczęła się 9 grudnia 1992 roku lądowaniem jednostek amerykańskiej piechoty morskiej na plaży niedaleko Mogadiszu. Najpierw wojsko miało przejąć kontrolę nad lotniskami, portami i drogami w celu bezpiecznego rozładunku i dystrybucji pomocy humanitarnej.

Wtedy w Somalii ludzie umierali z głodu. Jeździliśmy z konwojami, żeby pokazać, jak pomoc dociera do potrzebujących. W niektórych wioskach mieszkańcy patrzyli na nas, jakby po raz pierwszy zobaczyli białego człowieka. Odwiedzaliśmy też obozy dla uchodźców z rejonów walk. W lepiankach mieszkały tysiące ludzi, którzy w czasie konfliktu wszystko potracili, nie mieli żadnej nadziei na przyszłość. Nasza francuska organizacja od czasu do czasu jeździła do portu, kiedy przyływał statek ze zbożem, potem trzeba je było stamtąd przetransportować. Przy braku dróg było to bardzo trudne.

Zostało nam kilka dni do wyjazdu. Zrobiliśmy już sporo materiałów, nie musieliśmy szukać nowych tematów. Ale Waldek zawsze miał dużo energii. „No co, będziemy teraz tak siedzieć?”, powiedział po śniadaniu. „Pojedźmy do centrum Mogadiszu”.

Tamta część miasta była zajęta przez partyzantów. Francuzi uprzedzali nas, że możemy tam jechać, ale na krótko i koniecznie pod ochroną. Byliśmy już tam wcześniej i mieliśmy stamtąd zdjęcia, ale Waldek nalegał, więc w końcu się zgodziliśmy. Usiadłem z Milewiczem i ochroniarzem na pace. Drugi ochroniarz i operator zajęli miejsca w szoferce. W czasie jazdy nagle skręciliśmy o dziewięćdziesiąt stopni i zobaczyliśmy barykadę, przy której stali miejscowi. Raptem wystrzelili z karabinów w niebo. Waldek siedział tyłem do kierunku jazdy, słysząc odgłosy kul, padł na podłogę. Nasz kierowca zatrzymał samochód. Zobaczyłem, jak tamci podchodzą do samochodu, otwierają drzwi i zaczynają szturchać chłopaków karabinami. Jeden z nich oddał kolejny strzał, żeby ich nastraszyć. Nasi ochroniarze nie zareagowali, my zamieniliśmy się w słupy soli. W pewnym momencie operatorowi pękł pasek od kamery, chwycili ją i uciekli.

Ktoś zapytał: „Wszyscy cali?”. „Tak, wszyscy cali”. „Kurde, co tu teraz zrobić?”, zastanawiał się Waldek. Zdawał sobie sprawę, że pojechaliśmy tam, bo na to nalegał, i czuł się winny. Niedaleko była jednostka Legii Cudzoziemskiej, udaliśmy się do nich z prośbą o pomoc. Wysłali do centrum patrol, ale to nic nie dało. Potem poszliśmy do hotelu, w którym zatrzymywali się zagraniczni dziennikarze. Pytaliśmy ludzi, którzy pracowali z cudzoziemcami, czy wiedzą, kto nas okradł. Jedna z tych osób porozmawiała z miejscowymi i umówiła nas na spotkanie ze złodziejami. Gdy wróciliśmy do centrum, Waldek spokojnie wysiadł z auta. Tam już ktoś na niego czekał i zabrał na spotkanie ze złodziejami do jakiegoś domu. Kompletne szaleństwo. My zostaliśmy w samochodzie. Nie było go około dwóch godzin, zaczęliśmy się denerwować, bo przecież miał przy sobie gotówkę. Nagle zobaczyliśmy, że idzie w naszym kierunku. W ręku trzymał jakieś afrykańskie rękodzieło. Powiedział, że złodzieje nie chcieli mu oddać kamery, bo miał za mało pieniędzy. Trochę się ich obawiał, więc zmienił temat rozmowy i wycygał od nich tę ozdobę. Abstrakcyjna sytuacja. Potem opowiedzieliśmy o naszej przygodzie przed kamerą w studio Eurowizji, a oni wysłali nasz materiał do Polski. Nasza stacja była tym trochę zaniepokojona. Po dwóch latach ktoś poinformował szefostwo, że wojsko znalazło kamerę. Telewizja Polska odebrała już ubezpieczenie, więc kamera chyba tam została.

Nasz trzeci wspólny wyjazd był do Armenii. Po rozpadzie ZSRR i ogłoszeniu niepodległości przez Armenię i Azerbejdżan między państwami doszło do konfliktu o przebieg granicy. W 1992 roku azerski parlament odebrał Górskiemu Karabachowi status obwodu autonomicznego. W odpowiedzi karabascy Ormianie w styczniu 1992 roku ogłosili niepodległość terenu, z poparciem armeńskiego rządu.

Oczywiście chcieliśmy przedostać się do Karabachu, bo nieźle się tam tłukli. Okazało się, że to nie takie łatwe. Dziennikarze nie byli miło witani przez stronę azerską, a bez pomocy miejscowych

można zginąć w górach. Z tego powodu światowe agencje miały z tej wojny bardzo mało zdjęć. Czasem dziennikarze azerscy zrobili jakiś materiał, innym razem ormiańscy, i sprzedawali je za granicę. Sytuacja nas zaskoczyła. Waldek z kimś zagadał i mówi: „Wiesz co, znalazłem kogoś, kto może nam pożyczyć ormiańskie mundury. Przebierzemy się w nie i wszyscy będą myśleć, że jesteśmy żołnierzami. Dostaniemy się tam bez problemu”. Mnie jednak ten pomysł zmroził. Trzech cudzoziemców ma się poruszać się po kraju w mundurach? Staralem się go przekonać, żeby zrezygnował z tej maskarady, bo może się to dla nas źle skończyć. Dziwił się, że jego fortel mi się nie podobał, ale w końcu ustąpił.

Pojeździliśmy trochę po Armenii i szukaliśmy innych tematów. Odwiedziliśmy obozy dla uchodźców oraz miasta Leninakan i Spitak, które ucierpiały cztery lata wcześniej w wyniku trzęsienia ziemi. Po tragedii świat obiecywał pomoc, ale gdzie tam, nadal wszędzie były ruiny, a dookoła panowała przerażająca cisza.

Był to nasz ostatni wspólny wyjazd. Po czystce zostałem szefem działu zagranicznego i trochę krępowałem się jeździć. Chciałem dać szansę innym. Waldek pracował na miejscu w redakcji, czasami w terenie. Lubił podróże, bo był przekonany, że miejsce dziennikarza jest tam, gdzie coś się dzieje. Jako podwładny był czasami humorzasty, przekonany do swoich pomysłów, ale sprawdzał się w tym, co robił. Byliśmy w stanie się dogadać.

Potem nastąpiła restrukturyzacja i dział zagraniczny połączyli z publicystyką międzynarodową. Nasza redakcja zrobiła się bardzo duża, zostałem jej wiceszefem. Koledzy z publicystyki byli przerażeni, jak można o czymś ważnym opowiedzieć w półtorej minuty. W końcu wysłano nas z żoną jako korespondentów do Zagrzebia, wtedy w Jugosławii trwała wojna. Milewicz zaczął wpadać na kilka dni na Bałkany, czasem się spotykaliśmy. Jednak każdy z nas był zajęty realizacją swoich tematów.

Copyright © by Honorata Zapaśnik

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2021

Opieka redakcyjna: Dagmara Małysza

Redakcja tekstu: Elżbieta Kot

Projekt graficzny wnętrza książki: Irena Jagocha

Adiustacja, korekta, łamanie i przygotowanie wkładek do druku: Atelier 2

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: Andrzej Georgiew / Forum

Fotografie na wkładce I

s. 1, 2 – z prywatnego archiwum Teresy Milewicz-Fortuńskiej

s. 3 – z prywatnego archiwum Barbary Oleksiak

s. 4–8 – z prywatnego archiwum Moniki Milewicz

Fotografie na wkładce II

s. 1, 3 – Leszek Trzciniński / Forum

s. 2 (górne) – Michał Kość / Reporter

s. 2 (dolne) – Jan Mystkowski

s. 4 – archiwum TVP / Forum

ISBN 978-83-8135-115-7



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,

ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2021.

Druk: Abedik

## W MAJU 2004 ROKU WALDEMAR MILEWICZ POJECHAŁ

Z EKIPĄ DO IRAKU, by nakręcić czterdziesty trzeci odcinek programu *Dziwny jest ten świat*. Miał to być jego ostatni wyjazd. I był. Milewicz zginął podczas ostrzału samochodu polskich dziennikarzy.

Wielu nadal go pamięta i ma przed oczami dziennikarza w skórzanym kurtce, kończącego swoje relacje słowami: „Dla *Wiadomości* Waldemar Milewicz”.

Jakim był człowiekiem? Co pchało go w rejony wojennych konfliktów naznaczonych ludzkimi dramataми? Dlaczego tak ryzykował?

Z rozmów Honoraty Zapaśnik z rodziną, przyjaciółmi i współpracownikami Milewicza wyłania się barwny, pełen sprzeczności i fascynujący portret jednego z najbardziej znanych polskich reporterów i korespondentów wojennych. W czasach raczkujących mediów niezależnych stworzył program autorski, który otwierał widzów na świat. Był zawsze tam, gdzie działo się najciekawiej, a czasami najgorzej. Zaglądał do piekła, by rejestrować, a potem pokazywać innym to, z czym musieli mierzyć się ludzie w Bośni, Kosowie, Rwandzie, Kambodży, Somalii... Słuchał ich. Bo ważny był dla niego człowiek.

Prywatnie był duszą towarzystwa, rycerzem z ułańską fantazją. Kochał dobrą kuchnię, samochody i życie do utraty tchu. Był ambitny, wymagający, podziwiany i krytykowany, oceniany z zazdrością. Wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, ale bał się jak każdy.

*Gdybym nie wyjeżdżał, przestałbym robić to, co lubię, i liczyć się w tej pracy. A to, co lubię robić, wiąże się z pewnym ryzykiem. [...] Ta praca może uzależnić tak jak hazard czy alkohol.*

E-book dostępny na [woblink.com](http://woblink.com)

ISBN 978-83-8135-115-7



9 788381 351157

Cena detal. 54,99 zł



WYDAWNICTWO  
OTWARTE